

Wspomnienia Absolwentów Wydziału Matematyczno-Fizycznego i Wydziału Matematyki Stosowanej

* * *

Z wielkim sentymentem wspominam okres, w którym studiowałem na Wydziale Matematyki Stosowanej. Był to dla mnie czas wielu zmagania i ciężkiej pracy, za co z perspektywy minionego okresu mogę tylko podziękować.

Myślę, że niezależnie od momentu, w jakim przyszło nam żyć, zawsze będzie ciężko znaleźć człowieka, który ma pasję, a jeszcze ciężiej takiego, który potrafi nią zarazić innych. Takich ludzi jest po prostu niewielu. Tym bardziej doceniam fakt, że miałem niebywałe szczęście przebywać wśród takich właśnie osób, którymi byli zarówno moi koledzy i koleżanki, jak i, a raczej głównie, nasi profesorowie. Dzięki nim miałem wielką przyjemność odpływać od przyziemnych spraw związanych z szarą rzeczywistością i mogłem zanurzyć się w świecie abstrakcji, z czasem stwierdziłem nawet, że ten świat jest ciekawszy.

Studiowałem matematykę przez 5 lat i uważam, że to najlepiej zainwestowany czas we własny rozwój. Nauczyłem się tutaj niekonwencjonalnie myśleć, polepszyłem logiczne myślenie i zacząłem nadmiernie używać słowa „Udowodnij!”, co jak się okazało, nie jest dobrze odbierane poza środowiskiem matematyków...

Niestety często zajęcia, jakie mieliśmy, odbywały się poza naszym Wydziałem. Miałem wrażenie, że Wydział prowadzi ekspansję, zajmując pomieszczenia w innych obiektach, m.in. Laboratorium Budownictwa, Centrum Edukacyjno-Kongresowym, Wydziale Mechanicznym Technologicznym, Górnictwa i Geologii i wielu, wielu innych. Wszędzie tam postawiłem swoją matematyczną stopę.

Mogę także pochwalić się zajęciem ostatniego miejsca w corocznym turnieju szachowym aż 3 razy z rzędu! Usprawiedliwiam to jedynie bardzo ciężkimi zawodnikami, zwłaszcza wśród kadry profesorskiej.

Nie obawiam się o dalszą historię naszego Wydziału, bo poznałem ludzi, którzy czuwają nad jego losami i czuję, że jest w dobrych rękach. A sam zawsze będę dumny, że stałem się częścią jego historii.

Mirosław Boksa (2014-2019, matematyka stosowana)

Nagroda i nagana

W 1974 roku rozpoczęliśmy III rok studiów. W rankingu ogólnouczelnianym Politechniki Śląskiej nasza grupa uzyskała najwyższą średnią z ocen za V semestr. Wówczas SZSP wyróżnił naszą grupę propozycją wyjazdu na początku VI semestru na kilkudniową wycieczkę do NRD. W programie były Lipsk i Weimar – piękne historyczne niemieckie miasta, w których żyli światowej sławy twórcy, m.in. Jan Sebastian Bach, Johann Wolfgang von Goethe i Fryderyk Schiller. W tamtych czasach wyjazd za granicę nie był łatwy. Granice były dobrze strzeżone. Problemem było jednak to, że na III roku mieliśmy zajęcia w wymiarze ponad 40 godzin tygodniowo. Oczywiście było, że musimy te zajęcia odbyć. Przełożenie wykładów, laboratoriów, ćwiczeń nie było trudne. Wykładowcy i asystenci podeszli do naszej prośby niezwykle życzliwie. Część zajęć mieliśmy jeszcze przed wyjazdem, a resztę mieliśmy odrobić po przyjeździe.

Niestety, największą przeszkodą okazały się zajęcia wojskowe. W poniedziałki od godz. 8.00 do 15.00 siedzieliśmy w studium wojskowym na bardzo nudnych i – jak się nam wszystkim wydawało – kompletnie niepotrzebnych wykładach z obrony cywilnej, a część kolegów na zajęciach typowo wojskowych. Najważniejsze były wykłady, które miały nas przekonać, że system polityczny, w którym żyjemy, jest najlepszy pod słońcem i nigdzie nie będzie nam lepiej. Proponowaliśmy różne rozwiązania odbycia tych zajęć, ale jedyną odpowiedzią wojskowych przełożonych było: „Nie, bo nie!”. Nie pamiętamy innych argumentów w czasie rozmów w studium wojskowym. Nie pomogły nam też zupełnie władze naszego Wydziału.

Zdecydowaliśmy się jednak na wyjazd, który był rzeczywiście atrakcyjny. Problemy pojawiły się po powrocie. Tak jak zaplanowaliśmy: wykłady, laboratoria i ćwiczenia odrobiliśmy zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami i bez kłopotu, natomiast wojsko przyczyniło się do poważnych niedobrych konsekwencji. Najpierw zapowiedziano nam, że na egzaminie będziemy mieli obniżone o jeden stopień oceny, tzn. jeśli ktoś zdał egzamin z wojska na ocenę np. dostateczną (3), to w indeksie pojawi się niedostateczna (2). A groziło to egzaminem poprawkowym po wakacjach, a nawet wydaleniem ze studiów, jeśli dana osoba nie zdałaby jeszcze drugiego egzaminu. Poza tym taka obniżona ocena mogła zaważyć o przyznaniu stypendium, jeśli średnia z wszystkich ocen byłaby niższa, niż to było wymagane. Tak więc skutki naszej decyzji nie były dobre. A wisienką na torcie był wpis do indeksu nagany z ostrzeżeniem, która została anulowana dopiero po dwóch latach, przed obroną dyplomów magisterskich. W późniejszym czasie otrzymaliśmy: „Wyróżnienie Dziekana za bardzo dobre wyniki w nauce w sesji zimowej 1976/1977”, tym razem nie w formie wycieczki zagranicznej, ale jako wpis do indeksu.

Mimo to wspominamy te wydarzenia z sentymentem. Cieszymy się, że to przykre doświadczenie scementowało naszą grupę i być może przyczyniło się do tego, że 42 lata po obronach dyplomów chcemy się spotykać i robimy to, jak tylko czas pozwala.

Maria Banaszkiewicz (1972–1977, fizyka)

Wydziałowe nocne życie

W latach, kiedy internet dopiero zaczął pojawiać się w polskich domach (w kwietniu 1996 r. uruchomiony został pierwszy ogólnodostępny numer dostępowy dla modemów 0-20 21 22 o przepustowości 33,6 – 56 kb/s), na Wydziale mieliśmy już internet na stałym łączy o przepustowości wielokrotnie przewyższającej łączy modemowe, zdaje się, że 1 Mb/s. Wydział nasz miał wtedy najnowocześniejsze na Politechnice laboratoria komputerowe. Dzięki temu rozkwitło niezwykle bujne życie „internetowe”, skupione wokół laboratoriów komputerowych. Oficjalnie laboratoria były dostępne dla studentów do godziny ok. 21 (kiedy oczywiście nie było w nich zajęć dydaktycznych). W praktyce „czynne” były, do kiedy ostatni laborant był na „posterunku” (w latach 1997–1999 byłem jednym z zatrudnionych studentów-laborantów), co niejednokrotnie kończyło się w nocy, a czasami i wczesnym rankiem. Studenci nie raz dopytywali się o ogłaszane z wyprzedzeniem pocztą pantoflową tzw. „nocki internetowe”. Wtedy „sprawowaliśmy opiekę” dużo dłużej, zwykle do wczesnych godzin rannych, tak by dojeżdżający studenci mogli wrócić do swoich domów pierwszymi porannymi pociągami lub autobusami. Jednocześnie staraliśmy się opuścić sale przed przyjściem pań sprzątarek, by nie utrudniać im pracy.

Kto teraz uwierzy, że studenci ze szczerym zaangażowaniem dopytywali się, kiedy będzie możliwość spędzenia nocy na Wydziale, z którego wracali niejednokrotnie po 5 ranem i wszyscy na trzeźwo :-)

Bardzo miło wspominam ten niezwykle klimat, jaki panował w tamtych latach na Wydziale. Może pamiętają to ci, którzy byli studentami w latach 1997–2000 i później. Bo tradycja była chyba jeszcze przez pewien czas kultywowana.

Na Wydział do laboratoriów często zamawialiśmy jedzenie. Zwykle była to pizza z dowozem. Pewnego dnia kolega, wracający od rodziny ze wsi, pochwalił się, że ma kaczkę, więc wpadliśmy na pomysł, by ją upiec. Pieczenie kaczki w gronie studentów matematyki na Wydziale o 2 w nocy to dość karkołomne zadanie. Dzięki uprzejmości nieocenionej Pani Marianki mieliśmy dostęp do kuchni, ale o tym ciiii... ;-) Jednak jakoś się to udało, obyło się bez ofiar, prócz kaczki oczywiście. Było z tym sporo zabawy, bo nie mieliśmy doświadczenia w tej materii. Dodatkowo, ku naszemu zaskoczeniu, kaczka nie była wypatroszona. Summa summarum kaczkę udało się upiec. Smakowała wyjątkowo, pomimo że troszkę nam się przypaliła, bo w trakcie pieczenia graliśmy w Quake. Mam nawet krótki filmik VHS z tej nocki, ale raczej nie nadaje się do publikacji w całości, bo RODO i w ogóle ;-)



Nocne życie na Wydziale funkcjonowało, jak sądzę, za cichym przyzwoleniem władz Wydziału. Wykładowcy nieraz wychodzili bardzo późno, czasami też spędzali noc na Wydziale i zdawali sobie sprawę, że studenci są w laboratoriach niejednokrotnie do wczesnych godzin porannych. Nikt się z tym specjalnie nie krył. Myśmy ze swojej strony dokładali wszelkich starań, by panował należyty porządek i by nie przeszkadzać nikomu, nawet paniom sprzątaczkom, które rano przychodziły posprzątać sale.

Wieczorami na Wydziale często graliśmy w Quake2. Jako że była to gra sieciowa, więc chętnych zbieraliśmy z wszystkich laboratoriów, jakie były wtedy dostępne (sale 409, 415, 416, a potem jeszcze chyba 407 lub 406). By przyspieszyć proces rekrutacji, ktoś wpadł na pomysł użycia na komputerze komendy net send * „gramy w Quake”, która pozwalała na wysłanie komunikatu do wszystkich komputerów. Kiedyś Pani prof. Olga Macedońska zapytała nas, co to za gra ten Quake, bo ona lubi gry i chętnie by się nauczyła. Pokazała nam grę Revesi :-). Byliśmy na tyle rozsądnymi studentami, że nie zrewanżowaliśmy się jej nauką gry w Quake, natomiast zdaliśmy sobie sprawę wtedy, że nasze „nawoływania” dochodziły do znacznie szerszego grona, niż planowaliśmy. Jakiś czas później dr Gawron na szczęście zablokował możliwość nadużywania tej komendy.

Dzięki popularności laboratoriów komputerowych gra w Quake2 była na tyle popularna na naszym Wydziale, że w XXX rocznicę Wydziału, w maju 1999 r. odbył się turniej wydziałowy i ówczesny dziekan, prof. Radosław Grzymkowski, wręczał dyplomy. Udało mi się znaleźć ten dyplom oraz koszulkę podpisaną przez władze Wydziału: prof. Radosława Grzymkowskiego, prof. Olę Macedońską, prof. Witalija Suszczańskiego (mojego promotora), czwartego podpisu nie potrafię zidentyfikować. Koszulki niemal nie używałem, z obawy by podpisy się nie spały :-).

Studia i praca na Wydziale nauczyły mnie logicznego myślenia, dały mi wiedzę, zawód i doświadczenie, na tamte czasy trudne do przecenienia. Za to jestem wszystkim bardzo wdzięczny. Były to też lata, które zawsze bardzo miło wspominam. Niezwykłe, czasami zwariowane, magiczne, intelektualne, niepowtarzalne...

Dzięki studiom, Wydziałowi i pracy na nim po wielu latach wierności zdradziłem królową nauk matematykę na rzecz jej młodszej siostry/córki informatyki. Zamiłowanie do matematyki zamieniło się w pasję do informatyki i nowych technologii.

Tomasz Jabłonowski (1994–1999, matematyka dyskretna)

Wesołe wspomnienia pracownika Wydziału Matematyki Stosowanej, a wcześniej studentki tego Wydziału

Trochę informacji na wesoło o moich nauczycielach akademickich. Prof. Śladowska-Zahorska, z którą miałam zajęcia z analizy matematycznej, nazywana była przez nas „babcią”, chociaż wtedy nie miała nawet 50 lat i wnuka żadnego. Dlaczego? Może dlatego, że była niskiego wzrostu, szczupła, pokazały się już siwe włosy i po prostu z zachowania przypominała bardziej babcię niż matkę, którą była. Mówiliśmy też o niej, że jest medium — nie wolno było wchodzić na egzamin ustny u niej, myśleć o materiale, którego się nie umie albo słabo umie, bo wtedy na pewno padnie pytanie właśnie z niego.

Ciekawą rzecz też zaobserwowaliśmy u prof. Kucharzewskiego. Mieliśmy z nim wykład co tydzień, 3 godziny, od 10.15 do 12.15 z przerwą ok. 11.15–11.30. Zawsze punktualnie o 12.00 (choć profesor nie miał zegarka, a nawet jeśli miał, to nie spoglądał na niego) robił króciutką przerwę, po prostu przerywał pisanie na tablicy, była cisza, nic się nie działo i po chwili przechodził do wykładu.

Kolejne wspomnienie dotyczy prof. Zahorskiego. Egzamin z topologii – zawsze po południu, nieraz późno, czekaliśmy na niego (śmialiśmy się, że ma dużo światła po drodze z domu na Wydział), a wszyscy, którzy zdawali na 5, dostawali wpis -5.

Na koniec zabawne zdarzenie, jakie przytrafiło się mojemu mężowi Markowi, gdy był pracownikiem Wydziału Matematyczno-Fizycznego. Mąż był bardzo wymagający w swojej pracy, nie tolerował ściągania itp. i od razu na pierwszej kartkówce studentom, którzy próbowali to robić, po prostu zabierał prace, nie zaliczał i dzięki takiej swojej konsekwencji miał już na późniejszych sprawdzianach spokój. Studenci się więc bardzo pilnowali. Jednego roku (zajęcia były na Wydziale Górniczym) robił kolokwium w dużej auli, a że przyszedł bardzo niewyspany, zmęczony – po prostu przysnął. Pamiętam, że wrócił do domu wściekły, zły, nie przyznał mi się, o co chodzi. Był przekonany, że wszystkim udało się ściągnąć, że wyniki będą nieuczciwe. Za kilka dni – zmiana nastroju. Okazało się, że jednak nie ściągali, wyniki były „normalne”, sam dziwił się dlaczego. Po kilku latach na jakiejś imprezie spotkał się osobę, która była na tym kolokwium. Studenci tak się bali, że podejrzewali, że mąż tylko udaje, że przysnął, czytając gazetę, więc nic nie zrobili, aby „nielegalnie” sobie pomóc.

Barbara Pakleza (1974–1979, matematyka stosowana)

Profesor Zygmunt Zahorski – luźne uwagi wspomnieniowe

Byłem studentem matematyki Wydziału Matematyczno-Fizycznego w latach 1971–76. Profesor Zahorski prowadził z moim (drugim) rocznikiem wykłady z analizy matematycznej (sem. 1.–4.), ze wstępu do matematyki (sem. 1.), topologii i analizy funkcjonalnej (sem. 5.) oraz rachunku wariacyjnego (sem. 6.). Ćwiczenia z analizy prowadziła Pani Profesor Olga Macedońska, wówczas jeszcze, na początku moich studiów, Pani Magister. Profesor nazywany był przez nas Dziadkiem i, konsekwentnie, Pani Profesor Janina Śladowska-Zahorska, wówczas czterdziestoparoletnia Pani Docent – Babcią. Zajęcia odbywały się wówczas przy ul. Zwycięstwa 42, w sali 18 na pierwszym piętrze lub dwa pietra wyżej, w sali 38.

Wykłady Profesora były dla nas przede wszystkim szkołą logicznego, ścisłego, precyzyjnego rozumowania. Na zawsze pozostaną mi w pamięci sformułowania *Obieramy dowolne ϵ dodatnie i ustalamy na pewien etap dowodu.... Tu kończy się etap dowodu, na którym ϵ było ustalone, to samo można powtórzyć przy każdym innym ϵ dodatnim*. Precyzja rozumowania widoczna jest również w klasycznym dla Profesora kontrprzykładzie pokazującym, że nie każda funkcja jest addytywna: *Czy z faktów, że choremu mierzono temperaturę o godz. 6 i miał wówczas 36 stopni oraz o godz. 12, kiedy miał również 36 stopni, wynika, że jeżeli nie podgrzewano go po śmierci, to o godz. 18 miał 72 stopnie?*

Wykłady Profesora odbywały się zwykle w godzinach popołudniowych. Nie zmieniało to faktu, że Profesor systematycznie na nie się spóźniał. Zaczynał wówczas od przeprosin i tłumaczenia, że nie mógł przyjść na wykład nieogolony i w drodze na Wydział na przejściu dla pieszych miał czerwone światła, co wprawdzie nie tłumaczy całego półgodzinnego spóźnienia, ale przynajmniej jego część. Pewnego razu, gdy frekwencja na wykładzie nie była zbyt wysoka, Profesor zwrócił się do nas z apelem: *Prosiłbym, aby na każdym wykładzie były przynajmniej dwie osoby, bo jestem za stary, żeby prowadzić wykład dla jednej osoby, a do pustej sali przemawiają tylko bardzo duzi formalisci, do których ja się nie zaliczam.*

W roku 1971 (lub 1972) Profesor układał kolejną wersję programu wstępu do matematyki. Napisany odręcznie program przepisywany był później na maszynie w dziekanacie. W pewnym fragmencie programu Profesor wykaligrafował „alef 0” i dalej napisał „i inne alefy”. W postaci przepisanej wyglądało to następująco: wolne miejsce „i inne zalety”. Profesor napisał wówczas „List do pań z dziekanatu” i odczytał nam go na wykładzie. List zaczynał się od słów: *Moje Panie tak pisać nie można. Napisałem wyraźnie alefy; a jak Adam, I jak Lucyna, e jak Ewa, f jak Franciszek, y jak ymieniny. Jeżeli się jakiegoś słowa nie rozumie, to jeszcze nic nie szkodzi, ale to nie powód, żeby zastępować go innym, zrozumiałym, ale za to bez sensu.*

Jan Pochciał (1971–1976, matematyka stosowana)

Kilka obrazków zapamiętanych z czasu studiów na Wydziale Matematyczno-Fizycznym w latach 1972–1977

Akademik Piast, przed meczem na Wembley. Kolorowy telewizor się zepsuł... Telefon aktywnych kibiców do fachowców i odpowiedź, że naprawa potrwa tydzień. Był w Piaście ciemnoskóry student (podobno od ośmiu lat na Wydziale Górniczym). Wpakował telewizor do bagażnika swojego bmw i za godzinę przywiózł naprawiony. Sala telewizyjna na 1. piętrze wypełniona, z przodu kilka foteli pustych. Młody student sobie przysiadł i czeka. Tuż przed transmisją nadeszło kilku „dziadków”, stanęli przed nim w milczeniu. Młody cichutko wyniósł się na koniec sali. Pierwsza bramka Domarskiego i żyrandol poleciał rozbity ręką przerośniętego „dziadka”. Wynik meczu 1:1 i Polska w finale mistrzostw świata.

Kolokwium z analizy matematycznej. Nasza ulubiona Olga Macedońska-Nosalska usiadła na krześle z przodu, pod oknem, wyjęła czasopismo (po angielsku). A usiadła tyłem do nas. Co kilkanaście minut – bez odwracania się – wołała groźnie: pan X nie ściąga od pana Y, a następnie: Y nie ściąga od X!

Nasza ulubiona pani Olga Macedońska-Nosalska (po wykonaniu przez studenta wykresu funkcji na tablicy): a teraz pan – pomacaj ten wykres! (Chodziło o podanie wszystkich wiadomości, które wiązały się z danym przebiegiem funkcji).

Na trzecim roku przemieszczono studentów „mat-fizu” z ds. Piasta do Rzepichy w ramach koedukacji. Z tej okazji studentki z Rzepichy wywiesiły na ścianie na zewnątrz budynku wielki na dwa piętra plakat z namalowanym podstarzałym studentem z monoklem

w oku, nagim studentem, ale z nagością przysłoniętą dłonią. Niestety, z powodu roztarżnienia czy pośpiechu artystek dłoń miała sześć palców...

W Piaście (i nie tylko) mieszkali studenci z Wietnamu. W każde święto wietnamskie plakat na zewnątrz budynku informował o liczbie zestrzelonych samolotów amerykańskich i liczbie wziętych do niewoli żołnierzy z Ameryki. W związku z wojną w ich kraju studenci ci byli bardzo pilni, bo wydalenie ze studiów skutkowałoby wcieleniem do wojska.

Zimą wzdłuż chodnika od Rzepichy do stołówki rozciągała się długa ślizgawka. Ciemnoskórzy studenci, okutani od stóp do głów, drżący z zimna, bokiem, drobnymi kroczkami, przesuwali się ostrożnie obok ślizgawki. A ci mali Wietnamczycy w dużej liczbie, jeden za drugim śmigali po ślizgawce, aż się kurzyło.

Pan – wykładowca statystyki matematycznej – przyjeżdżający z Opola. Przez wiele dni swoich wykładów tak długo i skutecznie (w przerwach) opowiadał dowcipy przeciwko kobietom, aż stopniowo zaczęło ubywać na zajęciach studentek. Gdy ostatnia studentka znikła, powiedział: no nareszcie jesteśmy we własnym gronie. I przestał opowiadać dowcipy. Nie wiemy, czy był rozwiedziony...

Święto Kobiet w akademiku Rzepicha – konkurs na smażenie naleśników. Udział samych studentek. W tym czasie na drugim piętrze studenci się raczyli czymś mocniejszym. Ja grałem im na akordeonie dumki rosyjskie. Wróciła Ewa z naleśnikami. Kolega, który już miał „w czubie”, wstał chwiejnie, wyjął podstarzałe kwiatki z flakonu, wręczył jej z namaszczeniem, po czym wypił z flakonu resztę wody. Zażyczył sobie grania „Jarzębiny czerwonej” aż do upojenia, pomagając artyście grać. Stopniowo osuwał się i zasnął na podłodze. Klawiaturę trzeba było długo oczyszczać z dżemu.

Pan profesor Zahorski, wykładając topologię, przez kilkanaście dni przychodził z rozerwanym rękawem od garnitur. Wreszcie któregoś dnia spóźnił się znacznie, bo: „żona zauważyła, że rękaw od marynarki się nieco naderwał”. Lubiliśmy go. Na początku wykładu pisał na tablicy temat, po czym całe dwie godziny omawiał zupełnie coś innego, z jego (i naszego) punktu widzenia znacznie ciekawszego.

Żona pana profesora Zahorskiego, nasza „babcia” Śladkowska-Zahorska, lubiła sobie w przerwach zapalić ze studentami papierosa na schodach. Jak powiadał często Krzysiek Herman – zaciągała się aż do pięt, co było łatwe, bo była niewielkiego wzrostu. Zaciąganie się do pięt nie przeszkodziło jej przeżyć prawie stu lat. Podobno później – w stanie wojennym – stale miała przy sobie gotową walizeczkę z bielizną na wypadek aresztowania.

Nasi koledzy: Heniek F. i Grzesiek C., dojeżdżali na zajęcia tramwajem. Każdy z nich miał plik biletów już użytych (przeziurkowanych w kasownikach) i następne przejazdy były już z biletem, wybranym z gotowego pliku.

Najlepszym pingpongistą u nas był Jan, który nie wstydził się grać nawet z Wietnamczykami. Przyniósł taki żart po zawodach: grał wysoki, ciemnoskóry student z małym Wietnamczykiem i oczywiście był zły, więc uderzył mocno; Wietnamczyk podniósł piłeczkę i mówi: ping-pong-peng (co znaczy po wietnamsku: ping-pong pękt), a na to ciemnoskóry grubym głosem: wiela bula? (co znaczy w języku ciemnoskórych: ile płacę?).

Po drugim roku zjechaliśmy do Gliwic na rok trzeci. I oto znikła nagle piękna ciemna broda u naszego kolegi Jana. Okazało się, że tak się przygotował na zajęcia w Studium Wojskowym. Po pierwszych zajęciach już mógł spokojnie wyhodować nową brodę, ponieważ od tego roku już nie obowiązywał ani wygląd, ani mundur.

Jak pociesznie wyglądała koleżanka Marzenka, gdy na porannym apelu w Studium Wojskowym meldowała stan rocznika, salutując do uczesanej modnie głowy, śmiejąc się od ucha do ucha i stojąc na baczność oczywiście.

Podobno ob. pułkownik – szef Studium Wojskowego – na zebraniu senatu skarżył się: „ja robię studentom na rękę, a oni mi wbrew”. Czy tak było, nie wiadomo.

Tuż przed rozpoczęciem studiów pierwszy rocznik zapraszano na przymusowe prace w charakterze fizycznych robotników – SPR-y. Przez miesiąc mieliśmy się praktycznie zapoznać z pracą – w naszym przypadku była to budowa bieżni na stadionie w Katowicach, bodajże Baildonu. Praca polegała na przesypywaniu łopatami kamyków w takt pieśni: „Przyjdzie walec i wyrówna”. Rewelacyjnie smakowała w przerwie butka z metką, popijana kawą z mlekiem.

W czasie SPR-ów załatwiono nam wejściówki do kina na rewelacyjny (według prasy) film „Love Story”. Ostrzegano przy okazji, że ludzie na tym filmie masowo mdleją z nadmiaru smutku. Niestety, tylko jedna studentka zemdląła – jaki zawód. A film taki sobie, niezły.

W czasie Igrów tysiące przebierańców i tysiące zabaw mądrych i niekoniecznie. Kilka przykładów z brzegu: Grupa młodzieży na samym skrzyżowaniu grała w szachy, tamując ruch, tuż obok inna grupka stała w krąg, oglądając z zajęciem tajemnicze pudełko i dyskutowała zawzięcie, czy wyjdzie to coś ze środka, czy nie wyjdzie. Inni przypadkowi przechodnie z zaciekawieniem dołączali, a tymczasem ci pierwsi odchodzili na bok i się z radością przyglądali.

Środkiem ul. Łużyckiej spacerowało dwóch studentów – jeden w stroju biało-czerwonym, drugi w czerwonym. Ten drugi kopał pierwszego i trzymał go na łańcuchu, za co pierwszy co chwila się odwracał i wylewnie dziękował. O co tu chodziło, nie wiadomo.

Strajk w czasie kolokwium. Z czego – już nie pamiętam. Jedynie to, że ćwiczenia były prowadzone na podstawie książki, której autor koniecznie chciał się wyróżnić tym, iż stosował odmienne od uznanych oznaczenia wielkości matematycznych. Nam się to nie spodobało. W czasie kolokwium nie pisaliśmy nic. Prowadzący asystent pozwolił uchylającym się wyjść i nie przeszkadzać pozostałym. Po krótkiej chwili ci pozostali też wyszli. Dzięki temu wszyscy mieli zaliczenia bez dalszych problemów.

Ja i Rafałek, dwaj wspaniali studenci matematyki stosowanej, na prośbę uroczych oczywiście studentek fizyki technicznej „strzaskaliśmy” pięć niezwykle trudnych całek oznaczonych i nieoznaczonych. Lekko nam poszło – przez całą noc dobieraliśmy do każdej z osobna metodę. Rano oddaliśmy nasze dziełko, uwieńczone pełnym sukcesem. Co to dla nas? Drobiazg. Nie poszliśmy na zajęcia i nawet na śniadanie – odsypaliśmy.

Karty miałem pożyczone od Jacka. Były to piatniki, najlepsze karty. Zniszczyłem je, stawiając pasjanse. Aż wymyśliłem, że przecież tak jak mój dziadek w wojsku, ja tu mogę „do-

rabiać”, wróżąc. Zupełny sukces. Kanapki z wędliną na sałatce i z rzodkiewką były nie do pogardzenia. Stąd wiadomo, że klientkami była płeć całkowicie odmienna.

Pan profesor Mościcki, fizyk, specjalista światowej sławy od badań za pomocą węgla C14, do którego przysyłano wykopane gdzieś kostki do określenia ich wieku. Na egzaminie ustnym swojej ulubionej grupy studentów fizyki technicznej zadał zbiorowe pytanie: dlaczego doniczka z kwiatkami, stojąca na parapecie jego okna w ostrym słońcu, jest chłodna od strony słońca, a ciepła od strony sali? I cieszył się z „naukowych” uzasadnień niektórych przyszłych fizyków. A zanim weszli na salę, pan profesor obrócił wszystkie doniczki na parapetach. Tylko tzw. orły nie dały się nabrać.

Pan mgr Wantrich od kresek. Oko miał tak wyskalowane, że widział odchylenie od pionu na pół stopnia. Jego pomysły kreślarskie były wykorzystywane przez co najmniej pięćdziesięciu doktorantów w Polsce. Puszczaliśmy go wcześniej z zajęć, gdy akurat był etap kolarskiego Wyścigu Pokoju. Na zapytanie Marzenki, jak można wyprostować zwinięty w rulon arkusz z rysunkiem, pokazał to za pomocą najbliższej ławki i własnego brzucha, co spowodowało wystąpienie jaskrawego rumieńca u naszej studentki.

Zaliczenie umiejętności pływania odbywało się na małym basenie przy ulicy Dubois, przy słabym oświetleniu. I może dzięki temu oświetleniu możliwa była podmiana występu trzech czwartych naszych kolegów przez jednego – Grześka – posiadacza żółtego czepka pływackiego. Żartowaliśmy potem, że gdyby było jeszcze trochę ciemniej, to popływałby na zaliczenie za nasze uroczę koleżanki.

Spanie w naszych akademikach było rewelacyjne, nie można się było rano obudzić na jęcia. Wolno było opuścić do trzech ćwiczeń w semestrze, a na wykładach nie sprawdzano obecności. Kolega Włodek miewał czasem sen kamienny. I raz budzono go na decydujące o zaliczeniu kolokwium z fizyki. Budzono go z pół godziny i nic – kamień. Zimna woda, głosy do ucha i rozsądku nie dały dobrego rezultatu. Gdyby nie był „orłem” u prof. Mościckiego, to mogłoby się to źle skończyć, ale orłem był. Nie obudził się też na rajd po Beskidach, a miał wielką ochotę na tę wycieczkę i przygotował sobie wieczorem nastrojoną gitarę.

Mieczysław Procnal (1972–1977, matematyka stosowana)

Wspaniały Wydział i nierokujący student

1. Seminarium dyplomowe (IV rok, Prof. Marian Nowak): moje wystąpienie jako pierwsze w grupie, stopień przygotowania nieokreślony, zaczynam opowieści o przydzielonym temacie. Po 10 min gaśnie epidiaskop, żarówka spalona. Ufff, co za szczęście, westchnąłem. I ocena wystąpienia przez prowadzącego seminarium: ten pan popełnił wszystkie możliwe błędy w prezentacji (...), nawet nie sprawdził, czy zapasowa żarówka w rzutniku jest sprawna.

Sposób tego podsumowania zapadł w pamięci wszystkim, godzinny wykład na temat moich błędów popełnionych w 10 minut – celem nie jest odhaczenie swojego wystąpienia, tylko zadbanie, aby było ono przeprowadzone profesjonalnie, zwalanie na żarówkę to przeciwieństwo tego. Ocena adekwatna :-)

2. Seminarium zakładowe (V rok, 9. sem. Prof. Aleksander Opilski – szef Zakładu Akustooptoelektroniki): publiczna, wśród wszystkich studentów grupy i wykładowców Zakładu, ostra jak na Profesora reprimenda nt. stanu zaawansowania mojej pracy magisterskiej (stan zero absolutne) – ten student nie rokuje na ukończenie studiów, jak dotarł do piątego roku?! Robimy krzywdę takim osobom, zabieramy im czas...

Pół roku później w podobnym gronie: Szanowni państwo, na początku spotkania chciałbym pogratulować studentowi nagrody w konkursie im. Adama Smolińskiego za najlepsze prace dyplomowe z optoelektroniki, pierwszy raz w tym konkursie Uczelnia zdobyła tę nagrodę (...). I wychodzi ten nierokujący student, konsternacja :-)

3. Wykład w barze piwnym (kto prowadził, nie wymienię, przedmiot mechanika kwantowa) – ciekawy, filozoficzny...

Waldemar Wójcik (1992–1997, fizyka techniczna)

* * *

Ogólnie. Studia w latach 1974–1979 to wspaniały czas. Mieliśmy wspaniałych profesorów. Wybrani to: Mieczysław Kucharzewski – analiza, Olga Macedońska – algebra, Zygmunt Zahorski – teoria liczb, Janina Śladkowska-Zahorska – analiza zespolona, Piotr Antosik – teoria dystrybucji. Tak naprawdę wszystko zaczęło się od tzw. praktyk robotniczych w wakacje, poprzedzających start. Południami były m.in. wykłady prof. Janusza Dietrycha – osoby niezwykle inteligentnej. Jego słów nie zapomniałem do dzisiaj. Uczył szukania oryginalności, aktywności życiowej oraz szerokich horyzontów. Na pierwszym roku fizykę prowadził dr Andrzej Sycz – Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, laborki z tego przedmiotu prowadzili młodzi Państwo Pazdurowie, którzy ku mojej radości zostali profesorami. Mechanikę miał prof. Bogdan Skalmierski – autor słynnego modelu skrzypiec.

Teoria grafów. Politechnika Śląska stała się moim pierwszym miejscem pracy (1979–1983) w zespole dydaktycznym kierowanym przez dr. Jerzego Kaczmarzkiego. Studia indywidualne z grafów miałem właśnie pod Jego kierunkiem. Niestety umarł przedwcześnie. Jeździliśmy z nim na obozy naukowe do Wisły, Srebrnej Góry oraz Wołkowyi. Grafy stały się pasją mojego życia. W wydawnictwie SPRINGER byłem edytorem książki „Graph-based modelling in engineering”. Obecnie pracuję jako profesor uczelniany w ATH w Bielsku-Białej. Prowadzę wykłady np. z algorytmicznego ujęcia teorii grafów. Doktorat mam z Politechniki Gdańskiej. Im więcej lat mija od ukończenia studiów, tym bardziej je cenię.

Otoczka. Uczelnia dawała możliwość uczęszczania na kursy języków dla asystentów wraz z letniami intensywnymi szkołami, np. w Zawoi. Lektoraty były prowadzone na super poziomie. W Kinoteatrze X wyświetlano niszowe filmy amerykańskie. Imprez kulturalnych było bez miary: kabarety (np. Pietrzak), jazz (Jazz Band Ball Orchestra), w Domu Muzyki i Tańca w Zabrze byłem na koncercie Krystiana Zimmermanna. Liczną grupą koleżanek i kolegów – to ciekawi, inteligentni ludzie o wielu innych zainteresowaniach, w tym turystyką – obeszlśmy wspólnie całe Beskidy. Na koniec DA, czyli Duszpasterstwo Akademickie i ks. Herbert Hlubek. Postać z innej bajki. Z urodzenia Niemiec, z duszy miłośnik Śląska

i Polski! Oddany całym sercem młodzieży. Jego „wykłady” dopełniły moje wykształcenie. Pół strony – co jeszcze?

Tradycja. W rękach miałem „Księgę Szkocką”, bo doc. Kazimierz Szałajko zaprosił na seminarium syna Stefana Banacha, który był w jej posiadaniu. Dziś jest podobno na Uniwersytecie Wrocławskim. Słuchaliśmy cały wieczór opowieści o legendarnej kawiarni „Szkockiej” we Lwowie. W sierpniu br. ją odwiedziłem – wydawało mi się, że czas stanął w miejscu, lokal wygląda jak na zdjęciach sprzed 80 lat.

Podsumowanie. Jestem wdzięczny wszystkim swoim nauczycielom za pokazanie piękna nauki oraz ich wzorową postawę moralną i otwartość, a także sposoby i zakresy przekazywanej wiedzy – do dziś czerpię z tych nieprzebranych zasobów garściami.

Stanisław Zawiślak (1974–1979, matematyka stosowana)